



# Teraz My! 18

4/2003

Pismo promujące twórczość uczniów  
XXI Liceum Ogólnokształcącego  
im. Hugona Kołłątaja

## Kultura i kłęska

Dominika Kubisiak, kl. 4c

*Prawdziwie wartościowa kultura to taka kultura, która potrafi pomagać w znoszeniu kłesk i nieszczęść. Bo żyjąc przechodzimy od kłęski do kłęski.*

*Leszek Kołakowski*

O czym myśli młody człowiek u progu dorosłego życia? Starając się o dostanie na dobre studia mamy przed oczyma obraz nas samych opuszczających uniwersytet z wyróżnieniem, zaraz potem opędzających się od łowców głów, którzy błagają nas o rozpoczęcie pracy w ich prestiżowej firmie gwarantując nam od razu stanowisko kierownicze z pensją dziesięciokrotnie przekraczającą średnią krajową. Potem ślub z wymarzoną partnerką, którego, oczywiście, znajdziemy bez trudu i śliczne dzieci nie sprawiające żadnych kłopotów. Zawsze będziemy młodzi, przeżyjemy mnóstwo przygód, nie zaznamy nudy i będziemy szczęśliwi. Nawet jeśli zdajemy sobie sprawę ze swoich małych możliwości, zawsze liczymy, że nam się uda. To kto inny nie dostanie się na studia, zostanie bezrobotnym z trójką dzieci spłodzonych przez przypadek i z równie przypadkowym partnerem.

Wiemy, co jest sukcesem, a co nie. Oglądamy to przecież codziennie — nie w rzeczywistości, co prawda, ale w telewizji. Prawie „z mlekiem matki” spijamy wzorzec do naśladowania. Dziewczynki już z bajek rysunkowych wiedzą, że sukces jest wtedy, gdy zdobędzie się przystojnego księcia. A chłopcy zapamiętują, że bohater zwycięża, kiedy pokonuje przeciwników i zdobywa władzę nad pozostałymi ludźmi. Potem przychodzą następne wzorce osobowe, wraz ze zmianą programu telewizyjnego. Seriale takie jak „Moda na sukces” uświadamiają, że szczęście to pieniądze bez ograniczeń i otaczanie się pięknymi ludźmi. Tysiące głupawych filmów wbijają nam do głowy, że szczęście jest udziałem małej grupy jednostek

### Teraz My!

Numer osiemnasty, rok trzeci

**Opieka dydaktyczna i pedagogiczna:**

Grażyna Róziewicz

**Opieka edytorska:**

Aleksandra Wróblewska

**Adres internetowy:**

<http://liceum21.ids.waw.pl/gazeta.htm>

**W tym numerze**

wybitnych, które potrafią je zdobyć i jakoś widzom nie przeszkadza, że nikt nigdy nie spotka w prawdziwym życiu takich ludzi jak James Bond albo Lara Croft.

Kultura amerykańska ciągle podsyca te wzorce propagując mit „od pucybuta do milionera” sugerujący, że każdy może odnieść sukces, jeśli tylko będzie ciężko pracował. Chyba nie trzeba tłumaczyć, jak znikome są szanse na taką karierę w rzeczywistości, w której bezrobocie sięga 20%? Świadomie, czy nie, przyswajamy sobie jednak te wzorce. Dążymy do ich realizacji w swoim życiu, a potem czujemy się bardzo nieszczęśliwi, kiedy nic z tego nie wychodzi. Czy ktoś z nas kiedyś się zastanawiał, czym dla niego byłby sukces życiowy? Może tak naprawdę wcale mu na tym wszystkim nie zależy? Może zamiast pójść na SGH marzy o studiowaniu antropologii? Albo może wcale nie chce robić kariery w wielkim świecie, tylko poświęcić się wychowywaniu dzieci?

Skąd się bierze to przekonanie, że życie udane to pasmo sukcesów i dramatycznych zwrotów akcji? Czy, kiedy sztuka stała się na tyle niska, że dostępna dla mas, pomyliliśmy piękne historie z gotowymi przepisami na życie? Czy w pewnym momencie nie zaczęliśmy mylić sztuki z rzeczywistością? Kiedy bowiem przyjrzeć się historii literatury, okaże się, że do pewnego okresu zajmowała się ona tylko bohaterami zupełnie odległymi przeciętnemu czytelnikowi. Mitologia opowiadała dzieje bogów i herosów, średniowiecze pisało tylko o świętych albo o królach. Tylko, że wtedy trudno było traktować te wzorce poważnie, bo każdy rozumiał, że to niedoścignione ideały. Trzeba też pamiętać, że czytelnik też był wtedy inny. Nikt przecież nie pisał „dla ludu”, bo „lud” ten w ogóle nie umiał czytać.

Może w takim razie błędem było przybliżanie literatury coraz to niższym kręgom społecznym? A może po prostu trzeba było wtedy też zaniżyć standardy oczekiwań? Jak się miał bowiem czuć upadły szlachcic czytając o wielkiej miłości do arystokratki, na którą nie było go stać? Albo co myślała zwykła kobieta, która spędziła młodość w czasach PRL-u oglądając serial o szczęściu ludzi żyjących w konsumpcyjnym raju gospodarki wolnorynkowej? Może normalnie cieszyłoby ich to, co mają? A tu nagle wmawiano im, że jest to nic nie warte. Czy taka powinna być rola kultury? Czy poprzeczka nie jest ustawiona za wysoko?

Myślę, że echa tego niedostosowania sztuki do rzeczywistości najmocniej słychać w kulturze masowej. Tworzą ją bowiem ludzie, którzy nie zadają sobie pytania, czy nie wyrządzają przypadkiem swoim odbiorcom krzywdy. Kto bowiem chciałby dziś oglądać film o nieudaczniku życiowym, w którego nudnej egzystencji nic się nie dzieje? No chyba, że ten nieudacznik byłby śmieszny, bo co chwila przewracałby się na skórcie od banana. I wtedy też dostajemy jasną informację, że absolutnie nie jest to wzorzec do naśladowania, tylko obiekt żartów. Mamy już całą galerię postaci godnych pożałowania — są to ludzie biedni, którzy nie znaleźli miłości i nie radzą sobie ze swoim życiem.

Sama kultura masowa jednak ostatnio zaczęła dyskutować z tymi narzuconymi wzorcami. Chyba najśłynniejszą postacią literacką końca XX wieku jest przecież Bridget Jones, kobieta, która jest podręcznikowym przykładem ofiary cudzych oczekiwań. Bohaterka powieści Helen Fielding żyje jak typowa ofiara losu — jest samotna, ma nadwagę, jest uzależniona od alkoholu, papierosów i hazardu i mało zarabia. A mimo wszystko budzi przecież sympatię. Dlaczego? Bo czytelniczki po raz pierwszy znalazły

bohaterkę, która jest podobna do nich samych. Bridget sama o sobie mówi, że czuje się uzależniona od cudzych oczekiwań. Od zawsze słyszała tylko, że powinna jak najszybciej znaleźć męża. Jej obraz sukcesu to udany związek — tego oczekuje od niej matka, znajomi, którzy cały czas ją swatają i dyskryminują jako jedyną samotną w towarzystwie, a nawet całe społeczeństwo, które zawsze uważa za podejrzaną fakt, że kobieta w jej wieku jest nadal niezamężna. Chociaż ukończyła uniwersytet, Bridget nie jest za bardzo czytana. Jej główną lekturą są poradniki, które objaśniają, jak zdobyć, a później zatrzymać przy sobie mężczyznę. W telewizji ogląda tylko filmy o miłości. Nie jest też zbyt inteligentna, wie tylko, że jej życie nie jest takie, jak być powinno. Skąd to wie? Bo brakuje w nim tego najważniejszego elementu, który nadawałby mu sens — męża. Wszystko inne, z czego powinna być zadowolona, nie ma dla niej znaczenia, bo nie jest ważne we wzorcach, które przyjęła. Nie interesuje się awansem w pracy, przyjaciel traktuje jak koło ratunkowe, do bycia matką się nie nadaje. Cel swój w końcu realizuje, bo zdobywa mężczyznę swoich marzeń. Ale czy będzie potrafiła stworzyć prawdziwy związek?

Drugą bohaterką współczesnych kobiet jest Ally McBeal, postać bardzo podobna do Bridget, także ofiara wzorców kulturowych, tylko tym razem typowo amerykańskich. Ją bowiem nauczono, że sukcesem będzie nie tylko znalezienie męża, ale także kariera zawodowa. Ally jest więc świetnie zarabiającym adwokatem, ma ciekawą i dostarczającą wielu emocji pracę, ale jej życie uczuciowe to pasmo porażek. Nie może więc czuć się szczęśliwa, skoro nie zrealizowała ważnego punktu w swoim planie. I chociaż w pracy odnosi sukcesy, co mogłoby ją uczynić bohaterką feministek, sama uważa się za ofiarę losu, bo na horyzoncie ciągle nie widać „tego jedyne-go”. Według mnie jej życie jest puste, ale nie dlatego. Ally narzuciła sobie romantyczny wzorzec miłości. Nie umie kochać prawdziwego człowieka i chyba nigdy nie będzie szczęśliwa. Zawsze będzie czekała. Nawet, kiedy osiągnie już wszystko, czego chciała. Nawet, kiedy znajdzie miłość, ciągle czegoś będzie jej brakowało. Takie jest bowiem przekleństwo ludzi ulegających cudzym wzorcom, że nigdy nie żyją teraźniejszością. Realizują narzucony przez media plan w oczekiwaniu na późniejsze profity. Nie zauważają, że życie toczy się tu i teraz i trzeba się cieszyć tym, co przynosi chwila. A nie przeczekiwać ją w udręce i przekonaniu, że kiedyś wreszcie przyjdzie prawdziwe szczęście.

W Ameryce już istnieje kult bycia „innym niż wszyscy” za wszelką cenę. Trzeba być wybitnie pięknym, szczupłym (chudym), mieć pasjonujące życie, pokazywać się w telewizji, być bardzo bogatym, niezależnie od tego, w jaki sposób zdobyło się pieniądze. W nowym systemie człowiek przestał być istotą indywidualną. Wszystkich traktuje się masowo, a takie podejście zabija wszelką odrębność i kreatywność. To budzi ogromną potrzebę wyróżnienia się z tego tłumu. Sukces to bycie wyjątkowym. W rzeczywistości wygląda to jednak tak, że każdy wierzy w swoją indywidualność naśladowując tak naprawdę pozostałych.

Miejsce zamieszkania, wszelka konsumpcja (marki samochodów, moda, etc.), tory codziennego życia (praca, odżywianie się, wieczory przed telewizorem) podporządkowane są tym samym normom, które każdy przyjmuje mniej lub bardziej świadomie. Codzienna filozofia przeciętnego obywatela sprowadza się do ideału społeczeństwa konsumpcyjnego. Rola mediów jest tutaj determinująca. Socjologowie twierdzą, że zastąpiły one w tej gestii szkołę i Kościół. Czy recepta na szczęśliwego człowieka

współczesnego świata to bycie powielonym wielokrotnie odbiciem anonimowego członka społeczeństwa? Ile wybitnych indywiduali można stworzyć według jednego wzorca? Jeśli szczęśliwy może być tylko człowiek różniący się od innych to czy jest tak naprawdę jeszcze ktoś, kto może się uważać za szczęśliwego?

Myślę, że to o tym opowiada film Sama Mendesa pt. „American Beauty”. Mamy tu zaprezentowaną całą galerię postaci, które realizują swój model życia, wierząc, że są oryginalne. Ludzie ci sądzą, że buntują się przeciwko normalności, przeciw swojemu własnemu życiu. Ale reżyser pokazuje, że tylko okłamują samych siebie. Mamy więc nastoletnią piękność, Angelę, która wierzy, że dzięki swojej urodzie ma władzę nad resztą świata. Sama tworzy i rozpowszechnia historie, według których spała z wieloma sławnymi fotografami i edytorami czasopism o modzie. A tak naprawdę jest jeszcze dziewczicą. Udaje kogoś innego, bo wierzy, że taka jaka jest — czysta i niedoświadczona, w rzeczywistości nie zasługiwałaby na niczyją uwagę. Najbardziej przeraża ją właśnie myśl, że mogłaby być po prostu zwyczajną — przyzwoitą i ostrożną w sprawach seksu nastolatką.

Ojciec Rickiego, stary wojskowy, codziennym kultem siły i męstwa (które dla niego oznacza okrucieństwo i stosowanie żelaznej dyscypliny wobec najbliższych) zarówno przed rodziną, jak i przed samym sobą usiłuje ukryć swoje skłonności homoseksualne. Nauczono go, że nie powinien okazywać swoich uczuć, że homoseksualizm jest zły i to uczyniło go bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Nienawidząc siebie niszczy jednocześnie życie żony i syna uwikłanych tragicznie w jego zakłamaną grę ze światem.

Jego sąsiadka — Kathryn, żona i matka, przyjęła, że sukcesem będzie podniesienie stopy życia rodziny na maksymalnie wysoki poziom. Realizuje wzorzec obowiązujący w amerykańskiej wyższej klasie średniej: własny dom, drogie meble, dwa samochody, możliwość wysłania dziecka na dobre studia, spokojna starość. W pewnym momencie jednak forma staje się dla niej ważniejsza niż treść. Realizując bowiem przez całe lata narzuconą przez środowisko receptę na sukces nagle spostrzega, że nie zapewniła szczęścia ani sobie, ani swojej rodzinie. Córka ją nienawidzi — nie potrafią ze sobą rozmawiać ani o drobiazgach ani o sprawach zasadniczych. Z mężem już dawno straciła kontakt — pojęcia nie ma, o czym marzy, za czym tęskni kiedyś najbliższy jej człowiek. Praca też nie przynosi spełnienia. Dobrze płatne zajęcie zmusza ją do nieustannego poniżania się — udawania sympatii wobec ludzi, którymi pogardza, do nieustannego wewnętrznego prostytuowania się. Wstrząsająca jest scena, gdy „silna kobieta sukcesu” rozpaczliwie szlocha w samotności, by za chwilę zażyć leki antydepresyjne i w masce kogoś, komu się świetnie wiedzie, wyjść do klientów, a nawet do rodziny.

Sam Mendes pokazuje, że wszystkie te postacie to ludzie bardzo zagubieni, bo wzorce sukcesu, które przyjęli pod presją otoczenia i modeli medialnych, nie wytrzymały konfrontacji z prawdziwym życiem i rzeczywistymi potrzebami emocjonalnymi. Film pokazuje, że ludzie ci — jak wielu z nas — żyją przez całe lata iluzją. Nie widzą i nie słyszą ani samych siebie ani swoich najbliższych. A kiedy tę iluzję im się odbiera, tracą grunt pod nogami: sięgają po alkohol, narkotyki, środki antydepresyjne. Zamiast zająć się usunięciem przyczyn własnej rozpacz, robią wszystko byle tylko nie odczuwać jej skutków. Wdrożeni do bezmyślnego naśladownictwa wszystkiego, co podsuwają media, nie potrafią spojrzeć z szacunkiem na

samych siebie. Czy kiedykolwiek zadali sobie pytanie, czy naprawdę chcą tego, do czego dążą? Mendes zdaje się zastanawiać, czy w ten sposób nie uniknęliby przypadkiem nieszczęścia i rozczarowania? Tak naprawdę przecież Kathryn pragnęła po prostu mieć szczęśliwą rodzinę. Gdyby przystała na takie zwyczajne życie, koncentrując się bardziej na uczuciach męża niż na słodkich słówkach przyjaciółek zachwyconych najdroższym modelem najmodniejszej kanapy, pewnie osiągnęłyby szczęście.

Głównym bohaterem „American Beauty”, który zbuntował się przeciw tej tyranii sukcesu jest mąż Kathryn, Lester. Jako czterdziestolatek — przechodzący kryzys wieku średniego — rzucił znieawidzoną pracę, za oszczędności całego życia, które miały mu zapewnić przyzwoitą emeryturę na starość, kupił upragnionego cadillaca, zatrudnił się w barze szybkiej obsługi jako wolny od odpowiedzialności za cokolwiek i kogośkolwiek sprzedawca hamburgerów i zaczął zażywać narkotyki. Myślał, że w ten sposób ucieknie tyranii wzorców. Nie zauważył jednak, że właśnie popadł w następny schemat. I dalej zachowuje się jak bezmyślny niewolnik. Dopiero w chwili śmierci zrozumiał swój błąd. Umierając patrzył na zdjęcie swojej rodziny z czasów, kiedy jeszcze była szczęśliwa. Oglądał młodą i śmiejącą się żonę, małą córeczkę i siebie samego i dopiero wtedy pojął sens swojego, straconego już niestety życia. W ostatnich sekundach uświadomił sobie, że wcale nie musiał być wyjątkowy, nie musiał osiągać podziwianego przez innych sukcesu ani zarabiać dużych pieniędzy. Wystarczyłoby, gdyby zwyczajnie przeżył swoje życie kochając swoich najbliższych i troszcząc się o nich najlepiej, jak potrafił. Tylko tyle, a w zasadzie, aż tyle, wystarczyłoby.

Życie zwyczajne życiem szczęśliwym? Życie, w którym nic się nie dzieje jako przedmiot dzieła sztuki? Nie mogłam sobie przypomnieć ani jednej książki, ani jednego filmu, który opowiadałby życie bez zdarzeń, taki sposób życia przedstawiał jako pozytywny. Dzieła o nieudacznikach nie mają szansy zaistnienia u współczesnych producentów, jeśli w którymś momencie nie pojawia się w nich jakaś odmiana losu. Skoro nic się nie dzieje, to jak kogokolwiek mogłaby zainteresować taka sztuka?

A jednak — na szczęście dla nas — zwyczajnych ludzi — powstał film o zwyczajnym życiu, a nawet odniósł spory sukces. „Amelia” Jeana — Pierra Jeuneta to właśnie historia takiej zwyczajnej (a przez to zupełnie niezwykłej) dziewczyny, w której życiu nie ma ani wielkiej miłości, ani ekscytującej kariery, a mimo to jest ono udane. Bo chociaż Amelia niczym nie wyróżnia się z szarego tłumu, to naprawdę jest osobą godną uwagi. Ma swoje małe przyjemności: rozbijanie skorupki spieczonej śmietanki na capuccino, zanurzanie dłoni w jedwabistych ziarnach zboża sprzedawanego w pobliskim warzywniaku. Ma bogate życie wewnętrzne i żyje trochę „obok świata”. Kontakt z nim nawiązuje dopiero, kiedy w swoim mieszkaniu odnajduje pudełko ze skarbami chłopczyka, który mieszkał tu w latach 50-tych. Dzięki temu, że — zupełnie bez sensu — według naszego do obłędu sensownego i pragmatycznego świata — postanowiła odnaleźć ich właściciela, podstarzały już teraz pan odnawia kontakty z córką i wnukiem.

Niby nie dzieje się nic nadzwyczajnego, a przecież czyjeś życie właśnie uległo poprawie dzięki niej. I dzięki temu, że nie zadawała sobie pytania, co ona sama będzie z tego mieć. To już jest powód do szczęścia. Odtąd Amelia odnajduje sens życia w pomaganiu innym. Wychodzi ze swojego zamkniętego świata. Sprawia, że dwoje ludzi się w sobie zakochuje,

pomaga owdowiałemu ojcu rozpocząć w końcu nowe życie i zawiązuje przyjaźń z sąsiadem. Dzięki tej interwencji w świat dookoła, Amelia odnajduje także swoją miłość i widz zaczyna wierzyć, że odtąd już i ona będzie szczęśliwa.

Wszystko w tym filmie jest takie codzienne, małe i zwyczajne i właśnie przez to tak cudowne. Jeunet sprawia, że przypominamy sobie, że nasze życie jest samo w sobie cudem. Może być takie piękne i jest w nim tyle rzeczy, z których można czerpać przyjemność. Wszystko, co wielkie, nadzwyczajne, jest tylko zbędnym wtrętem — niepotrzebnym intruzem wdzierającym się w codzienną rzeczywistość. Do życia potrzebne jest tylko niezbędne minimum — miejsce do mieszkania, praca, która nie za bardzo absorbuje, i - przede wszystkim — miłość. Wcale niekoniecznie do księcia z bajki. Można kochać każdego człowieka i pragnąć dać mu trochę szczęścia. Trzeba kochać swoje życie i pragnąć je ulepszać. Nikt z nas tak naprawdę nie potrzebuje nic więcej. Dlaczego więc tak mało osób to dostrzega?

Dlaczego ciągle oczekujemy od życia czegoś nadzwyczajnego? Czy spektakularny — odnotowany przez media — sukces uczyni nas kimś wyjątkowym? Przecież mnóstwo jest na świecie ludzi, którzy tak pojmowany sukces odnieśli — sława, szerokie kontakty, krociowe zarobki, możliwość zaspokojenia każdej zachcianki. Skąd jednak pomysł, że są oni wyjątkowo szczęśliwi?

Może w czasach, gdy każdy stara się być inny niż wszyscy, prawdziwym wyczynem jest postarać się być tym, kim się naprawdę jest, zwyczajnym człowiekiem?

Program życia szczęśliwego, chociaż zwyczajnego aż do bólu, znaleźć można w wierszu Leopolda Staffa z 1903 roku pt. „Życie bez zdarzeń”. Opisano w nim egzystencję składającą się z pracy od świtu do wieczora, bez trudnych wyborów i heroicznym poczynaniach. Przyjemnością jest tu kontakt z przyrodą i sztuką, bez konieczności uczestniczenia w hucznych zabawach w liczonym gronie. Dookoła ludzie żenią się, umierają, rodzą się dzieci, podmiot liryczny pozostaje samotny, ale akceptuje swój wybór:

*Gdy stary będę, poznam, że mnie  
Nie różni nic od braci...  
Nie było dobrze mi ani źle,  
Nikt mną nie zyskał ni traci...*

Jest on człowiekiem jak każdy inny. Godziwe życie było dla niego celem samym w sobie. Jest to przejaw postawy franciszkańskiej prowadzącej do pogodzenia się z rzeczywistością. Stworzona przez Staffa postać ma bowiem cechy świętości. Pierwszy wers brzmi jak słowa Chrystusa:

*Przyszedłem z pieśnią — pójdę bez słów  
I długo milczeć będę...  
Odejdę od was, by wrócić znów,  
I przy was już osiedę...*

I tu pojawia się szokujący paradoks! Jak to?! Życie zwyczajne, „Życie bez zdarzeń” to zadanie godne świętego? A zatem kogoś, kogo od tysiącleci uznaje się za jednostkę wybitną?!

Byłaby to najbardziej upragniona w XX wieku forma świętości. Taka, o której po drugiej wojnie światowej marzyli egzystencjaliści — przerażeni popisami niezwykłych wyczynów „wybitnych zbawców ludzkości”.

Główna postać „Dżumy” Alberta Camusa — Doktor Rieux — nie robiąc przecież w zasadzie nic, co wykraczałoby poza jego obowiązki, zasłużył jednak na miano świętego. Może to tego oczekuje od nas Bóg — wypełniania tylko swojej roli, pomagania bliźnim według możliwości i kochania życia? Dr Rieux bowiem nie ma już powodu, żeby żyć. Umarła mu żona, nie ma dzieci, wokół szaleje zło pod postacią zarazy, świat wydaje się być absurdem. A jednak samotny i zagubiony — walczy, chce żyć i pomagać innym. Warto żyć dla samego życia, bo nie wiadomo, czy po nim cokolwiek nastąpi.

Skoro tak, to czy nie należałoby postarać się, aby życie to było możliwie najlepsze? Może koncentrujemy się na takich wielkich celach jak sukces, żeby uciec od dbania o to, co naprawdę ważne? Może trudniej jest po prostu żyć niż robić wielką karierę? Może trudniej jest zmierzyć się z samym sobą, przeżyć swoje życie godnie — nie niszcząc siebie ani innych — a nie uciekać od niego odkładając je na czas nieokreślony, kiedy zrealizujemy już wszystkie swoje cele? Kiedy to będzie? I czy w ogóle pozostanie wtedy jeszcze coś do ratowania? Każdy powinien sam sobie odpowiedzieć na pytanie, co jest w życiu naprawdę ważne. Nie wolno dać się zniewolić i bezmyślnie ulec najpowszechniejszym wzorcom własnej epoki.

To prawda. Trudno oczekiwać, żeby każdy z nas był świętym. Ale może wcale nie wymaga to tak wielkiego wysiłku? Może warto spróbować?

W tym właśnie powinna pomóc kultura, stawiając nowych bohaterów do naśladowania — ludzi niezwykajnych przez swoją zwyczajność. Amelia świętą XXI-ego wieku?! Czemu nie?!

Czy znajdzie się jeszcze człowiek, który sam zrezygnuje z tego szaleńczego pędu do nieznanego celu i zatrzyma się na tym, co ma? Czy ktoś wychowany we współczesnej kulturze może chcieć być zwyczajnym?

Muszę przyznać, że ja sama nie czuję się na siłach tego zrobić. Nawet jeśli moje marzenia są pospolicie medialne i nieosiągalne, nie jestem jeszcze wystarczająco dojrzała, żeby z nich zrezygnować. Może dlatego ludzie, którzy to potrafili, budzą mój najwyższy szacunek?

Dominika Kubisiak jest zeszłoroczną absolwentką Kołłątaja. Obecnie studiuje anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim.

## Człowiek to brzmi dumnie.

Krzysztof Dziąg, kl. 3a

Gdy wielkimi krokami zbliżają się wakacje, większość uczniów, uczęszczających do polskich szkół średnich popada w nieco przedwczesną euforię. Owa wielce niebezpieczna przypadłość dopadła swego czasu także i mnie. Wobec tego faktu, by zabezpieczyć się przed nadmiarem błęgiego rozluźnienia koncentracji, postanowiłem zapoznać się utworami sławnego prażanina — Franza Kafki. Muszę przyznać, że szybko i kompleksowo wyleczył mnie z mojej choroby.

Spośród jego dzieł wybrałem to, które moim zdaniem niesie najciekawsze przesłanie. „Przemiana” opowiada historię Gregora Samse. Na jego przykładzie Kafka ukazuje, że każdy człowiek nosi w sobie mroczną tajemnicę. Enigmą Gregora było to, że ukrywał w sobie ogromnego robala. Był on z początku niewidoczny, lecz w miarę jak osobowość Samsego ulegała zubożeniu, kiedy jego życie było już próżnią intelektualną,

robał ujawnił się z całą mocą i bezwzględnością. Ostatecznie owe mroczne zakamarki zdominowały ludzką stronę Gregora.

„Przemiana” jest studium człowieczeństwa. Ukazuje, co odróżnia „*homo sapiens*” od zwierząt. Mówi, że ta różnica nie jest aż tak wielka, jak ludzie w swej pysze zwykli uważać. Gregor pracuje jako komiwojazer. Zanim otrzymał tę posadę, był człowiekiem myślącym, wrażliwym na piękno, ceniącym sobie sztukę. Nowe zajęcie stopniowo odziera go z tego wszystkiego. Podjął je z pobudek szlacheckich, by zapewnić byt rodzinie. Pochłonęło go jednak całkowicie. Nie zostawiło czasu na myślenie. Wytchnienie od ciągłego biegu po środki do życia Gregor uzyskał dopiero wówczas, gdy zamienił się w robaka. Od tego wcielenia nikt już niczego nie oczekiwał — nawet on sam. Miał więc znów dzięki temu wyjątkowo wiele czasu na refleksję. Jak się okazało, zbyt wiele.

Nowe życie Gregora szybko zostaje zautomatyzowane, zaczynają ponownie kierować nim przyzwyczajenia, a świadomość ulega zamazaniu. Kafka na poziomie metafory wskazuje na trzy rzeczy, które sprawiają, że człowiek nie zamienia się w zwierzę. Mówi, że rezygnacja z którejkolwiek z nich prowadzi do poważnych konsekwencji.

Te czynniki to: życie cielesne (praca i wysokie rozrywki, chroniące przed nudą i ośpieniem umysłowym), refleksja (zdolność do myślenia, zastanawiania się nad przyczyną i skutkiem) i najważniejszy — wrażliwość na piękno. Ten ostatni czynnik najdłużej w Gregorze broni się przed degradacją. Owa wrażliwość sprawia, że robak zachowuje chociaż cząstkę człowieczeństwa.

Kafka mówi, że aby móc nazywać siebie istotą ludzką, należy walczyć o prawo do godnego życia, którego niezbywalnym elementem jest kontakt z pięknem. Takim desperackim aktem obrony przed zezwierzeceniem jest dla Gregora próba ochronienia się przed wyrzuceniem z jego życia jedynej rzeczy, którą uznaje za piękną — obrazu wiszącego na ścianie. Rezygnuje z komody (oznaczającej normalne życie), nie reaguje na pozbawienie go biurka (symbolizującego myślenie, refleksję, jako że, jak przyznaje bohater, za młodu było miejscem zbyt wzmożonego wysiłku intelektualnego), nie pozwala sobie odebrać jedynie wspomnianego obrazu. Utrata tej ostatniej deski ratunku byłaby dla niego jednoznaczna ze śmiercią. Tym bardziej przerażającą, że nie cielesną, a duchową.

Sama myśl, że egzystować mogą we współczesnej rzeczywistości ludzie tak okaleczeni — martwi wewnątrz — budzi w pisarzu grozę. Czego spodziewać się można po kimś, kto już nie jest zdolny do wzruszenia, współczucia, zaniepokojenia? Kafka, w dramatycznym przeczuciu wydarzeń, do których dojdzie w XX wieku obawia się, że wszystkiego! Gregorowi ostatecznie udaje się ocalić w sobie człowieka. Skazany jest jednak na powolne umieranie, odtracony przez wszystkich.

Tu pojawia się tło dla wspomnianych trzech czynników. Mianowicie żaden z nich nie może istnieć w odosobnieniu, poza społeczeństwem. Człowiek od zawsze żył we wspólnocie. To ona stymuluje, prowokuje, wymusza rozwój wewnętrzny. To w kontakcie z nią musimy ciągle na nowo dokonywać samookreślenia. To ona nie pozwala nam na bierność. Pod jednym warunkiem — że wytrwamy w tym często tylko męczącym i niepotrzebnym reżimie. Że nie będziemy chcieli uciec od nieustannej niepewności i aktywności w zamknięty świat, w którym być może czujemy się pewniejsi i spokojniejsi, ale to tylko pozory. Brak kontaktu z rzeczywistymi wyzwaniem stawianymi przez innych oznacza bowiem powol-



ną śmierć wewnętrzną. Traci się swoją ludzką tożsamość — stajemy się z upływem już tylko czasu zwierzęciem.

Ale, co robić, gdy otoczenie ludzkie powszechnie się degeneruje, gdy śmierć duchowa staje się doświadczeniem powszechnym, gdy zwierzęta w innych zaczynają dominować ku powszechnemu zadowoleniu? Wreszcie można się nie wysilać. Wreszcie można swobodnie poczuć się sobą wśród swoich!

Gdzie znaleźć tę wspólnotę, która jest czymś więcej niż tylko zwierzęcym stadem? To pytanie i dziś dręczy wielu ludzi. Kafka uważa, że człowiek — istota duchowa — w takim otoczeniu skazany jest na zagładę. Bohater „Przemiany” odkrywa tę prawdę i jest to przerażające, że wie, co go czeka. Świadom pustki, w jakiej się znalazł, odchodzi. Kafka nie na darmo zwany jest „Orfeuszem literatury światowej” — w swoich utworach wytrwale drąży ludzkie piekło. Ukazuje żalostną prawdę o człowieku. „Przemiana” naprawdę zmusza do zastanowienia się nad swym życiem i odpowiedzi na jedno bardzo ważne pytanie — czy już przypadkiem nie uległem powszechnym skłonnościom do ułatwiania sobie egzystencji? Czy już czasami nie wychodzi ze mnie robal? Pocieszające jest jednak to, że tak długo, jak długo stawiam je, jak długo czuję wstręt do takiego zubożenia swojego bytu, tak długo ta aktywność wewnętrzna chroni mnie przed tą ponurą perspektywą.

Dziękuję, Drogi Panie Franz, za skłonienie mnie do tej refleksji.

## Korespondencja z Pekinu

Piotr Karpiński, kl. 4c

### 17 października

Witajcie. Nie pisałem, bo byłem zajęty. Staram się o praktykę w ambasadzie, (w skrócie ameba), ale cienko to widzę, bo chcą pełnoetatowców. Staram się jednak, co potwierdzi Milena, którą zaangażowałem w szukanie poparcia w Warszawie. Pytajcie ją o szczegóły. Jak mnie odrzuca, to zacznę uczyć pierwszaków angielskiego i uderzę do tutejszej polonistyki robić za nativa. Co wyjdzie to powiem, teraz żyję planami... Czeka mnie właśnie mała wyprawa. Wybieramy się w kilku na odludny fragment Wielkiego Muru, gdzie mamy zamiar położyć i spędzić noc w wieży. Jest zimnawo (nie mówcie Mamie, Tacie, Babci, Babci, Dziadkowi, Milenie), więc i stopień ekstremy większy. Będzie, jak w Mikołajku (cyt. z głowy) „do domu wróciliśmy podrapani, brudni i płaczący. Było ŚWIETNIE.” Tutaj wszystko w porządku. Z nauką bez przesady, za mały jest kontakt z... Chińczykami. Zresztą oni, choćby i łażący po mieście w pidżamach w kwiatki (bardzo częsty widok po piątej po południu), albo wyciągający mi książkę z ręki, żeby zobaczyć, co czytam, są czasem normalniejsi niż ci, o których tu słyszę, jak załatwiają potrzeby fizjologiczne podczas okupacji mównicy sejmowej. Ja mam swoje dziwa, wy macie swoje. Obyśmy wszyscy przetrwali. Bądźcie zdrowi.

### 21 października

Miałem jechać na mur. Spać w śpiworze, w tysiącletniej wieży bez kaloryfera, ba z dala od ludzi! A tu figa. Z makiem. Pogoda się hmmm,

załamała. Jest przejmująco zimno — sweter, polar i kurtka w środku paździenika, a mnie jest wciąż zimno. Błagam, niech nikt mi tylko nie radzi włożyć coś jeszcze. Ten chłód ma wymiar wręcz egzystencjalny ponadmetryczny!!! To co, że jest około plus 5 — przenika wszystko... Ci, co doczekali tego lata, twierdzą, że „zima” zawitała do nas znacznie wcześniej niż w zeszłym roku. Jest więc rześko. To duży plus.

Radzę sobie. Jest szansa, że będę miał praktykę w ambasadzie. Na pół etatu, bo przecież się uczę. Szansa nie jest wielka, bo połówek nie przyjmują, ale się starałem, aby ją zwiększyć. Okaze się niedługo. W Chinach najciekawszy są ludzie.

Ci najzwyklejsi, tacy których się nie zna i są takimi wygaszaczami ekranu, kiedy się z kimś rozmawia, albo coś robi. Są nauczeni żyć w warunkach, w których nie chcielibyście się zatrzymać na jeden nocleg. Pół Pekinu — drobne usługi — mieszka w miejscu, w którym pracuje. Śpi się na rozkładanych łóżkach, między 11 wieczorem a 6 rano. Przez resztę czasu się czeka na klienta. Wtedy przychodzi ja i kupuję obiad za złoty pięćdziesiąt — w przeliczeniu.

Miasto jest w trakcie burzenia. Jutro wyburzą taki nasz Mokotów. Może to na olimpiadę. Ale już na pewno na krzywdę ludzką. Połowę dotychczasowych mieszkańców, inna rzecz, że żyjących w podłych warunkach, się wywiezie 20 km na północ od miasta. Połowę wyrzuci, bo mieszkali bez meldunku. Wszystko w miesiąc. To dosyć czasu od podjęcia decyzji o wyburzeniu. A pekińczycy idąc ulicą, udając się pociągiem do domów, jadąc na rowerze, śpiewają. Śpiewają wniebogłose, kompletnie przy tym nie zważając na otoczenie. Z wzajemnością. Przecież nie ma tu miejsc odludnych, gdzie by można intymnie pośpiewać. Więc śpiewają. A ja się dziwię. Co za beztroska, czy to nie atak na moją indywidualność? A może ja sobie nie życzę... Tak, tak... Europejska skłonność do egzekwowania praw jednostki tutaj jest szokująco egzotyczna.

To samo z hellowaniem. Zawsze jestem „hello”. Hello to wszystko — rzecz jasna — po angielsku. Oni chyba myślą, że my się wszyscy nazywamy hallo. Dzień dobry — hallo, kup — hallo, tanio — hallo. Taki Hallo — WIN. A w Suzhou to mi Chińczyk wyjął książkę z ręki, żeby sprawdzić, o czym czytam. I dlatego ludzie są tu najciekawszy.

Cieszcie mnie swoimi listami. Homo Pekinensis

Autor ukończył „Kołłataja” w roku 1997. Następnie ukończył Wydział Stosunków Międzynarodowych na Uniwersytecie Warszawskim, obecnie studiuje sinologię.

## Z życia płazów

Anna Kraus, kl. 2c

Komedię pt. „Żaby” napisał Ateńczyk Arystofanes pod koniec piątego wieku p.n.e. Był to okres upadku Aten przegrywających wojnę ze Spartą. Współczesnej parafrazy tej sztuki na potrzeby Teatru Narodowego w Warszawie dokonał Bronisław Maj. Chociaż wprowadził on do utworu wiele nowych elementów (np. człowieka jeżdżącego na rowerze), to jednak treść pytania stawianego przez Arystofanesa pozostała niezmienną: kto jest w stanie uratować społeczeństwo, któremu grozi zagłada? Odpowiedź brzmi dość naiwnie: poeta.

Główny bohater komedii — bóg Dionizos schodzi do Hadesu, aby odnaleźć pisarza, który ocali ginące Ateny. W mrocznej krainie spotyka Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa — trzech wielkich tragików. Cała trójka, jak przystało na zmarłych, jest już w podeszłym wieku, lecz nie brak im energii do kłótni. Ajschylos i Eurypides zaczynają spierać się o to, który z nich jest lepszym poetą. Obu tragikom zależy na zmartwychwstaniu i powrocie do ojczystego miasta, stają zatem do literackiego pojedynku. Ich dokonania poetyckie ma osądzić Dionizos.

Ajschylos i Eurypides toczą swój pojedynek przede wszystkim na słowa. Eurypides twierdzi, że tworzył sztukę, jakiej oczekiwali i na jaką zasługiwali widzowie. Uważa, że należy przedstawiać ludzi takimi, jakimi są, a nie takimi, jakimi chciałby ich widzieć poeta. Zarzuca Ajschylosowi, że bohaterowie jego sztuk są nienaturalni — zbyt majestatyczni, posągowi. Ajschylos utrzymuje zaś, że postaci przedstawione przez Eurypidesa np. okrutna Medea czy kłamliwa Fedra nie są godne naśladowania, mają zbyt wiele wad.

Pojedynek wygrywa Ajschylos — piewca demokracji ateńskiej, sławiący jej triumf nad despotyzmem i tyranią — autor tragedii pt. „Persowie”, opowiadającej o zwycięstwie wolnych ludów greckich nad poddanymi bezwzględnego króla Dariusza. To właśnie Ajschylos sławił sprawiedliwość utworze pt. „Oresteja” mówiącym o tym, że każda zbrodnia musi zostać ukarana.

A Eurypides? Według Arystofanesa tworzył on sztukę dla szerokiego grona odbiorców, pisał swe utwory „pod publiczność”, czyli tak, aby zadowolić niewybredne gusta. W „Żabach” zarzuca się Eurypidesowi, że jego tragedie nie mają przesłania oraz, że za wiele uwagi poświęca w nich kobietom niegodziwym (tj. Klitajmestrze, Fedrze, Medei) i w ten sposób nie wychowuje społeczeństwa.

Eurypides broni się, przypominając, że za życia był popularniejszy od Ajschylosa. Dopiero od Dionizosa dowiaduje się, że ludzie już o nim zapomnieli. Tymczasem prawdziwa sztuka, „żyje” nawet po odejściu swego twórcy. Takie właśnie są tragedie Ajschylosa. I choć może ze względu na bardzo podniosły styl początkowo były zrozumiałe tylko dla niewielkiej grupy odbiorców i niezbyt szybko trafiały do szerokiej publiczności, to przecież w kolejnych pokoleniach wzbogacały ludzi duchowo, rozbudzając uczucia patriotyzmu i dumy narodowej z dokonań przodków („Persowie”).

W utworze Arystofanesa pisarze ukazani są jako postaci bardzo ważne dla społeczeństwa. Przypomnijmy, że Dionizos wyrusza do Hadesu nie po żołnierza czy polityka, ale właśnie po poetę, ponieważ „tylko w Słowie Poety — nazywającym i utrwalającym świat wartości — jest jeszcze ocalenie”.

Według Arystofanesa tylko mądrość i wrażliwość dobrego pisarza, może jeszcze uratować Ateńczyków. Żołnierze i politycy przegrają wojnę ze Spartą i ich działania nie mają już znaczenia. Największe niebezpieczeństwo grozi Ateńczykom ze strony ludzi słabo wykształconych, niewrażliwych na sztukę, a klęska miasta może być równoznaczna z końcem jego kultury niedocenionej przez barbarzyńców. Do zniszczenia swego dorobku kulturowego mogą przyczynić się też sami Ateńczycy, nie kontynuując tradycji swych przodków. Poeta potrzebny mieszkańcom Aten po to, aby pamiętali o osiągnięciach swych poprzedników i godnie ich naśladowali.

Zgadzam się z twórcami spektaklu w Teatrze Narodowym — Ary-

stofanesowska koncepcja twórcy jako człowieka sławiącego wartości takie jak: piękno, honor, sprawiedliwość, wolność, patriotyzm i w ten sposób ratującego społeczeństwo — powinna obowiązywać i dzisiaj. We współczesnym świecie ludzie często doświadczają brutalnych, podłych, niskich — „żabich” zachowań. Zły przykład dają nawet rządzący państwem politycy. Upada wiara w istnienie wyższych wartości. Ludzie nie wstydzą się kraść, poniżać i wyzyskiwać innych. Są nawet tacy, którzy się tym popisują. Są nawet takie programy i akcje medialne, które ich do tego zachęcają. Pracodawcy nie szanują wolnego czasu swych pracowników, zmuszają ich do pracy przez kilkanaście godzin na dobę. Codziennie słyszy się o przestępstwach. Wandale bez zastanowienia niszczą to, co napotykają na swojej drodze np. ławki, przystanki autobusowe, budynki. Nie szanują trudu ludzi, którzy to zbudowali, nie troszczą się o piękno i porządek miejsca, w którym sami żyją.

A literatura? Większość z nas z niechęcią czyta książki. Wartościową lekturę zastąpiły telewizja, komputery i kolorowe magazyny. Wartość literacka „brukowych” czasopism nie jest wysoka. Wypowiedzi formułowane są w postaci równoważników zdań, występują liczne kolokwializmy. Następuje zubożenie językowe i kulturowe, ponieważ tego rodzaju gazety nie przekazują żadnych istotnych informacji, tylko plotki z życia sławnych ludzi. Kultura masowa wchodzi w życie każdego człowieka, żądając tylko tego, aby był jej odbiorcą. Programy typu Reality Show dostarczają mało wyszukanej rozrywki.

Czyż nie jest i dziś tak, jak w upadających Atenach? Jak w „Żabach”, gdy lamentował Sofokles, że „sztuka schodzi na psy”? Dzisiejszemu społeczeństwu potrzebni są artyści, którzy obudzą w ludziach wrażliwość na potrzeby innych i na piękno. Politycy i sędziowie nie uzdrowią państwa wymierzając przestępcom surowe kary. Państwo mogą uzdrowić tylko artyści, budzący w ludziach tęsknotę za lepszym i przypominający im o tym, co jest dobre a co złe. Społeczeństwo mogą ocalić tylko pisarze w piękny sposób sławiący piękne wartości — ludzie, tacy jak Ajschylos, poprawnym językiem mówiący o honorze, szlachetności, wolności, sprawiedliwości, miłości do bliźniego i ojczyzny.

Sztuka „Żaby” przedstawia wizerunki dwóch pisarzy. Jeden z nich — Ajschylos — prezentuje w swych utworach wzorce doskonałości, gdyż chce w ten kształtować społeczeństwo, zaś drugiemu — Eurypidesowi — wystarczy poklask gawiedzi łaknącej łatwej rozrywki. To, że w literackim pojedynku zwycięża Ajschylos i to jego Dionizos nagradza zmartwychwstaniem oznacza, że wielką wartość ma sztuka, która wychowuje i uczy, jak żyć godnie.

Czyż to nie zadziwiające, że treść utworu napisanego dwadzieścia cztery wieki temu jest aktualna dzisiaj? Nie mylił się Kohelet — nic nowego pod słońcem. I dziś — jak zawsze — potrzebujemy mądrych i odpowiedzialnych twórców — wychowawców, którzy nie ugną się pod presją powszechnej żądzy łatwej rozrywki. Czy znajdują się tacy, którzy temu podobają?